

przełożyła Karolina Wilamowska

## Trzy podejścia do Bartóka

Siedzieli w ciemnościach na niewygodnych składanych krzeselkach, taboretach, wystrzępionych sfatygowanych fotelach, zapadłej tódkowatej kanapie, kuchennych stołkach, podnózkach, siedziskach i pufach. Czekali na obiecany występ. Pytała samej siebie, co tutaj robi, na cholerę pozwoliła się zaciągnąć do tej zatłoczonej, pachnącej mokrym psem rudery na Terézváros. Marcsi jest strasznie apodyktyczna, zresztą kiedy taka *nie* była? A ona, opuszczając kraj i starszą o dwa lata siostrę, zostawiła tu jej apodyktyczność jak ciężki bagaż. Nie dlatego wyjechała, choć było to nie bez znaczenia. Dostała tiku w prawym oku, stłumiła uśmiech. Tam nikt nie zbliżał się do niej na tyle, aby spróbować jej narzucić swoją wolę. Wszyscy byli uprzejmi i życzliwi albo chociaż zachowywali odpowiedni dystans. *Sim, Dona Catarina, como não, Dona Catarina, como a Senhora deseja*. Jak sobie pani życzy. Musiała wrócić do domu, aby zrozumieć, jak bardzo potrzebowała, żeby ktoś nią potrząsnął, suszył jej głowę, zamęczał, nazywał prawdziwym imieniem. Katica, nie bądź głupią gęsią. Zresztą, kiedy *nie* byłaś głupią gęsią? Musisz tam pójść, powtarzała jej od dwóch dni Marcsi. Nie wiedziała, co tutaj robi, czterdzieści lat nie była w kraju. Może szukała właśnie tych przepychanek, wzajemnego użerania się.

– Wiesz, że nie chodzę na koncerty. A jeśli nie, to właśnie się dowiedziałas. Nie idę i kropka.

– Katica, nie wygłupiaj się – nie słyszała tego czterdzieści lat. – Katica, nie wygłupiaj się, wyjdź na podwórko, Katica, nie wygłupiaj się, chodź na sanki, do kina, na tańce – ale ona nigdy nie mogła wyjść, bo musiała ćwiczyć, codziennie cztery – pięć godzin po szkole.

– Musisz składać ofiarę swojemu talentowi – mówiła pani Mimi pod koniec zajęć, a ona twardo ją składała, podobnie jak nauczycielka, która dawała darmowe lekcje fortepianu temu rzadkiemu talentowi, za które nie mógł zapłacić, nawet jeśli by tego chciał, wiecznie pijany, nieszczęśny ojciec.

– Po co ci to, nie kupisz za to piwa, ten pieprzony kraj nie będzie dzięki temu znośniejszy. Ale Tato się mylił, tylko dzięki muzyce, choćby na chwilę, stawał się bardziej znośny.

– To nie jest koncert – powtarzała Marcsi. – Przynajmniej nie *taki*, jak myślisz. To coś zupełnie innego, zobaczysz. Musisz pójść. Musisz.

Od chwili wyjazdu niczego nie musiała. Ani robić, ani myśleć. Nie musiała grać na fortepianie, dawać uroczystych koncertów wysoko postawionym funkcjonariuszom partyjnym, nie musiała wypowiadać słów, zdań, których sens ustalała jakaś centrala, nie musiała znosić kłamstw wyściełających podszewkę codzienności, skąd przenikały

pod ich skórę, nie musiała czekać długich godzin, zanim ten, którego wypatrywała, mógł wymknąć się z domu, nie musiała przypadać do ściany w przedpokoju, kiedy przychodził, nie musiała pozwalać, aby rozerwał jej bluzkę i niecierpliwie rozsunął uda, nie musiała szukać ust, czekać, aż się w niej zanurzy i wypełni pustkę, którą od tyłu dni nosiła w sobie, a opadając na parkiet zrobiony jeszcze z porządnego orzechowego drewna, nie musiała myśleć, jeśli rzeczywiście to była myśl, a nie wrażenie wywołane reakcją chemiczną, że bez niego cały świat może zniknąć; tego wszystkiego już nie musiała, a kilka lat później, kiedy mężczyzna, który tylko na scenach koncertowych całkowicie należał do niej, u szczytu kariery, ramię w ramię ze swoją żoną przekroczył otwarty pas graniczny, opuszczając i kraj, i ją, nie musiała wracać do zdrowia, gdyż motorniczy tramwaju miał dobry refleks i tylko na tyle potrącił odurzoną środkami nasennymi młodą kobietę, na ile była w stanie opuścić szpital o własnych siłach, wsiąść do zamówionej przez starszą siostrę taksówki i pojechać do jej mieszkania na ulicy Bolgárkertész, pomiędzy kwiaty, kota i rachunkowe papiery, nie musiała też dłużej żyć ze świadomością, że nie będzie mogła mieć dzieci, ponieważ ona wprawdzie przeżyła, ale pod wpływem kawałka żelaza, który wwiercił się w jej macicę, straciła dziecko, wreszcie nie musiała dłużej przebywać w mieście, które stało się dla niej pustą, wyschniętą skorupą, wyjechała bowiem dwa lata później, wiosną 1958 roku, a na jej mózg i przewodzący impulsy układ nerwowy opadła żelazna kurtyna, a wtedy zniknęło wszystko, co dotąd musiała robić i co uważała za swoje życie.

Nieustannie rozmyślała nad przeszłością, od której się uwolniła. Aż pewnego ranka zorientowała się, że niczego nie pamięta. Wszystko przestonił i słumił szum morza, wrzawa na targu rybnym sprzed mieszkania, aksamitne samogłoski miękkiego obcego języka, okrzyki grających w piłkę i siatkówkę ludzi nad brzegiem morza, melodia rodzącej się bossa novy. Minęło czterdzieści lat.

Opuściłam swoją dziesięciomilionową ojczyznę. Zobaczyłam świat. Żyłam przez dekady. Czas wykuł moją twarz w kwadracie. Ale nie potrafię przywołać wspomnień. Zastąpił je fragment książki znalezionej w cudzym mieszkaniu. Nie znała autora, widocznie zadebiutował po jej wyjeździe. Pożyczone zdania w pożyczonym mieszkaniu – próbowała je odnieść do swojego życia. Głośno odczytała słowa, żeby przekonać się, czy zabrzmią fałszywie. Bawiła się zaimkami osobowymi, liczbą pojedynczą. Wcześniej lubiła zdania, że „ktoś żył przez dekady”. Albo – „czas płynął”. Rozsadzała je gęsta, lepka materia książek, w której dobrze było się zanurzyć, zatracić. Teraz wpadała w rozpacz, ilekroć czytała coś takiego. Jej całe pożyczone życie ujęte w jednym zdaniu. Wypowiadając je głośno, poczuła, że słowa, podobnie jak ostatnie czterdzieści lat jej życia, mówią tylko o przemijaniu i o niczym więcej. Przy każdym kolejnym zdaniu mrużyła prawe oko, twarz jej drgała. Miała ten tik od czterdziestu lat i chociaż nauczyła się panować nad swoim ciałem, ten jeden mały miesiąc nie dawał za wygraną. Każdy tik przypominał jej o człowieku, przez którego opuściła swoją dziesięciomilionową ojczyznę, zobaczyła świat, żyła przez dekady pod gwiazdozbiorami półkuli południowej, Crux, Vela, Pyxis, Hydra, Serpens, Canis Major, Orion, Tucana, Indus. Przez którego czas wykuł jej twarz w kwadracie. Przez którego nie potrafiła, nie chciała, przywoływać wspomnień.

Wrócisz, rozumiesz? Wrócisz i przekonasz się, czy ciągle tam jesteś, czy wreszcie udało ci się uwolnić. Jesteś okropnie powolna. Ile jeszcze potrzebujesz czasu? Tyle nie dostaniesz. Nie będziemy się targować. Wrócisz i – jeśli będzie potrzeba – za ucho zaciągnę cię do czasu przeszłego. Obrazy to nie wszystko, obrazy kłamią. Pozwalają wierzyć, że miasto się nie zmieniło. Jakby wszystko było na swoim miejscu, nawet jeżeli nadgryzione zębem czasu. Rozglądasz się, widzisz promenadę nad Dunajem, nadbrzeże, most z lwami, zachód słońca, wszystko. Nie bądź głuptasem. Rzeczy należy najpierw powąchać. Poczuc feter gnijącego czasu, wyływający ze śmietników, zalewający miasto charakterystyczny odór wysypiska przeszłości, wyciągnięte z głębi szaf i naftaliny zatęchłe węgierskie szaty paradne, staroświecki zapach papieru ukrytych w antykwariatkach książek, albumów, map i widokówek, słodko-mdły aromat rodzinnych dokumentów, korespondencji, życiorysów, aktów urodzin i zgonu, albumów ze zdjęciami, ręcznie wypisywanych recept. Jeśli odetchniesz głęboko listopadową mgłą przesyconą smogiem, to poczujesz wsiąkający w asfalt mocz bezpiecznych kotów, woń oblodzonego żółtego klinkieru pokrywającego niegdyś ulice miasta, zapach skórzanych uchwytów w pojedynczych tramwajowych wagonach, parujące stłoczone palta zawilgłe od deszczu, mgły i śniegu, zasypujący miasto pierwszy śnieg i dym palonego drzewa, unoszące się nad Dunaju wyziewy rzeki, mokre drewno z hangarów na nabrzeżu, mdławie gęste zupy ze szkolnych stołówek, poranną wodę kolońską wychodzących do pracy mężczyzn, przypominający zepsutą rybę fetor powtarzanych w kółko wiadomości prasowych, puste półki w sklepach i aurę szczęścia nieistniejących towarów wydawanych spod lady, zapach wypchanych watą piętrowych fryzur kawiarnianych kasjerek, siarkowe opary tureckich łaźni i gorzkiej wody Hunyadięgo, przykry smrodek unoszący się wokół obowiązujących słów i wyrażań, a przy odpowiednim kierunku wiatru możesz poczuć nawet porzucone w szafie wysłużone lodenowe płaszcze, dym pierwszego papierosa, którym głęboko zaciągają się wychodzący na wolność więźniowie, a nawet zgniły, lepki zapach ruin towarzyszący tajemnym schadzkom, który w ciepłe letnie wieczory wylewa się przez okna hotelu Nagyszálló na Wyspie Małgorzaty. Musisz się tylko skoncentrować. Skup się. Na początku odbierasz bodźce tylko częściowo, niewyraźnie, wreszcie coraz silniej. Nie zawsze przychodzą z oczekiwanego kierunku. Otwórz się. Nie masz innego wyjścia, musisz to dokończyć.

Użyczone przez krewnego mieszkanie nie znajdowało się w miejscu, w którym dorastały. Nie było tutaj browaru, za to jedna przy drugiej w nieskończonym szeregu ciągnęły się modne kawiarnie i restauracyjki, nie wiedziały, co oferują, ani na podstawie czego wybrać którąś z nich. Kolor i kształt mebli, siedzący na tarasie ludzie byli obcy, nawet nie jako osoby, ale ze względu na typ. Pochodzenie obsiadających tarasy Avenida Atlántica osób umiała odgadnąć na pierwszy rzut oka, tutejszych nie. Może pewniej czułaby się w spelunkach, knajpach i szynkach z ulicy Százados. „Zmiataj do matki, niech nie robi rabanu”. Obserwatorium astronomiczne – tak okolica nazywała ulubioną knajpę ojca, ponieważ wracający po zmianie pijaczkowie stawali przed jej drzwiami w szeregu, dna butelek unosząc jak lornetki. Zobaczysz, że będzie dobre – powiedziała

jej starsza siostra, z którą w wakacje pracowały w browarze, myjąc butelki po piwie, ten stary model, którego gładkim porcelanowym korkiem lubiła pstrykać, mieszkanie jest w samym centrum, wszędzie będziesz miała blisko, nie chciałam, żebyś dojeżdżała tramwajem czy autobusem. Zresztą od wyjazdu Imiego stoi puste, niewynajmowane, nie miałam siły go uporządkować. Tak, pomyślała, ale stąd jest daleko do cmentarza, gdzie leży pozostała część rodziny. Tato, którego mimo wzorowej robotniczej przeszłości wsadzili z jej powodu do więzienia, gdzie powiesił się po kilku miesiącach, oraz matka, która umarła dwa lata później na raka. Długo musiałyby tłuc się autobusem i tramwajem, gdyby nabrała ochoty na pogawędkę. Tylko z kim i o czym? Nie przyjechała nawet na pogrzeb męża swojej siostry, skłamała, że nie ma pieniędzy. Skoro nie przyjeżdżała dla żywych, pomyślała wtedy, czemu miałaby wrócić z powodu zmarłego, którego nie znała. Ona sama przypominała zjawę w tym tropikalnym mieście, którego mieszkańcy nigdy nie słyszeli o Katalin Karády, do której zdaniem rodziny była łudzco podobna, a gdzie ona nie znała poprzednich nazw ulic. O ile zawsze nie nazywały się tak samo.

W tym skrzącym się od pary i światła mieście wszystko trwało w ciągłej terażniejszości, do której spłynęła także ona, niczym deszczówka lejąca się z dachów *faveli* do morza. To właśnie było w nim najlepsze – nieustannie falująca, nieprzerwana terażniejszość, która wszystko zacierała, rozmywała. Zapisane na piasku litery, morska fala, a potem już nic. Ciągłe od nowa. Ale pewnego dnia, po tym, jak opuściła zacinającą się metalową storę i zamknęła mały sklepik z instrumentami muzycznymi w jednym z rogów Praça Osório, jadąc do domu zdezelowanym ubiegłowiecznym tramwajem w dzielnicy Santa Teresa, zgodnie ze swoim zwyczajem wyciągnęła rękę przez okno, żeby dotknąć murszejących ścian w wąskich, wijących się uliczkach, i wtedy poczuła, że dotyka swojego życia, które toczy się pośród podobnych kruszejących ścian na krętej bezimiennej drodze. Że brakuje jej perspektywy, do której mogłaby wszystko przyrównać. Że musi odzyskać przeszłość albo przynajmniej jej część. A teraz stała przed półką z książkami w mieszkaniu przy placu Ferencza Liszta i musiała się przekonać, czy rzeczywiście przeżywa swoje życie tak, jak drugoplanowa postać tej przypadkowo wyciągniętej książki – krok za krokiem, z godziny na godzinę. „Żyje, a każde dwadzieścia cztery godziny jej życia to tylko dwadzieścia cztery godziny, nic więcej”, czytała przez eleganckie, mocne okulary. Musiała się przekonać, czy to możliwe. Po czterdziestu latach nie wiedziała jednak, jak się do tego zabrać.

Jeśli odkryłaś zapachy, możesz się rozejrzeć. Każdy ma jakiś rozwinięty zmysł, wokół którego, świadomie czy nie, kształtuje swoje życie lub który próbuje w sobie zdusić. Odkryj go i uwolnij, daj mu odetchnąć, pozwól, żeby zawiódł cię tam, gdzie zechce. Zanim to nastąpi, zajrzyj w szczeliny zarostu chwastem bruku, za cieniste ściany budynków, pod warstwowe spódnice ludowych tancerek, galowe ubrania i hasła uczestników pochodów pierwszomajowych, opatrzony laurem order pracy pierwszej klasy, w zięjące pustką leje po bombach, wciąż nieodkryte masowe groby, do środka spalarni – pogrzeb w niej trochę, może coś się jeszcze żarzy – potem pod stukoczące koła kolejki pionierów, lokomotywy Zsuzsi albo pociągu pospiesznego do Szárszó, pod dumnie łopoczącą

flagę zastępu Krupskiej, pod żołnierską piosenkę „zamiatają ulicę w Pápa”, drżące pozor- nie bez powodu czepce bufetowych z Opery, zawadiackie kapelusiki z piórkim szwaczek z ulicy Váci, obwisłe biusty samotnych księgowych ze spółdzielni, obracane ukradkiem pokręta radioodbiorników długofalowych, okazy fauny i flory przygranicznych bagien, pod „wystarczy wziąć głęboki wdech i wynurzyć się po drugiej stronie”, a potem zajrzyj na tę drugą stronę, w głąb, aż do magmy, i zobacz, czy jest tam cokolwiek.

Z mieszkaniem tak naprawdę miała inny problem. Znajdowało się zbyt blisko miejskiej szkoły muzycznej, z której wysokich, boleśnie znajomych, latem otwieranych szeroko okien – nieraz czuła w garści chłód wygiętych miedzianych klamek – nieustannie płynęła muzyka, zupełnie jakby na ogonkach nut wisały kolejne dni tygodnia, niczym suszące się pranie we Włoszech. Jakby muzyka była podstawowym przedmiotem codziennego użytku, bez którego miasto nie potrafiło funkcjonować. Nie bardzo pomyliła się w swoich przypuszczeniach. Nawet do oddalonego o kilka budynków mieszkania przez okna na czwartym piętrze dostawały się strzępy muzyki, co znosiła z trudem. W minionych latach uczyniła wszystko, aby odgrodzić się od uczuć, jakie wywoływała muzyka poważna – dla niej liczyła się tylko muzyka klasyczna – z którą zerwała w dniu, kiedy wspierając się na Marcsi, przeszła z kliniki przy ulicy Üllői do taksówki i rozpoczęła się trwająca miesiącami rekonwalescencja. Nie przeszkadzała jej muzyka nowej ojczyzny, znosiła ją jak łagodne rozwolnienie, na które nie zwraca się uwagi. Ale poza muzyką nie znała się na niczym więcej (jej salon kapeluszy w poprzednim mieście splajtował), dlatego jedyna forma kontaktu, na jaką mogła przystać, to handel. Muzykę mogła już tylko sprzedawać, tak jak muzyka w jej odczuciu, sprzedała, zdradziła ją. Z mściwą satysfakcją obserwowała klientów, którzy stopniowo zakochiwali się w niepasujących do nich instrumentach, aż w końcu kupowali je pod wpływem rozbudzonej namiętności. Znała finał tych związków, kiedy w kupcach narasta nienawiść wobec instrumentów, nad którymi nie potrafią zapanować. Nie miała fortepianu, odkąd po angielskim *tournee* nie wróciła do swojego Bechsteina na ulicy Nagydiófa, co więcej, nie wróciła ani na ulicę Nagydiófa, ani do kraju. Od tego czasu nie była też na koncercie.

Rozejrzeć się jest stosunkowo łatwo, ale potem trzeba smakować, dotykać. A to jest dużo trudniejsze. Trzeba sięgnąć pod spracowane pachy dziewcząt z barów kawowych, gnijące cementarne wieńce i tłuste, wytarte siedzenia w wysłużonych wagonach, potem złapać Pana Boga za nogi lub, jakby powiedział Tato, za coś podobnego do nich; opuszkami palców odczytać lakoniczną wiadomość wystrzelaną kulami na ścianie, dotknąć skrywanej pod ubraniem czerwonej opuchlizny po szkolnej różdze, niebiesko-brązowych kleksów w podaniach o utaskawienie, sięgnąć w przepastne szuflady babci pachnące ołówkami kopiowymi, zatęchłe pierzyny w dusznych pokojach ulicznic i chłopców na posyłki, smakować urywkowe wyznania, pohamowane zapędy, wycięte z tekstów słowa, oleiste ryby złapane w Dunaju wewnątrz miasta, pierwszomajowe miodowe cukierki, seklerskie sękacze i pochowane po mieszkaniu zagraniczne trunki milczących ojców, którzy jeździli na delegacje.

Potem trzeba już tylko milczeć i nastuchiwać.

Gospodarz wieczoru, Rosenstein – podstarzały pianista, który niezupełnie dobrowolnie zrezygnował ze swojej błyskotliwej kariery kilkadziesiąt lat temu – rozglądał się z zadowoleniem po sfofczonej w salonie około pięćdziesięcioosobowej publiczności. Koncerty w mieszkaniu urzłdzał raz na miesiąc, godzina występu, za każdym razem inna, krążyła z ust do ust po rozemocjonowanym mieście, goście zajmowali miejsca w kolejności przybycia. Ci, którzy się nie zmieścili, stali na zewnętrznym korytarzu i klatce schodowej z nadzieją, że uda im się uszczknąć fragment melodii. Całości towarzyszył konspiracyjny nastrój, który w niewyjaśniony sposób każdorazowo kwestionował aktualny system polityczny. Uczestnicy mieli wrażenie, że biorą udział w tajnym rytuale wtajemniczenia, o którym nie należy rozmawiać. Wiedzieli o nim właściwi ludzie, reszta mogła mieć pretensje tylko do samych siebie. Rosenstein nie występował, to była jego zasada. Grali zaproszeni goście, których po krótkim, błyskotliwym wstępie na temat kompozytora granego akurat utworu przedstawiał wiercące się niecierpliwie publiczności. Po niewielkiej przemowie na temat Bartóka, o którego erotyce mówił z zamierzoną prowokacyjną przesadą, Rosenstein uprzejmie powitał przybyłych, niczym wyklęty charyzmatyczny ksiądz swoich wiernych parafian. Tego wieczoru będziemy świadkami niezwykłego wydarzenia, powiedział. Mój dawny, serdeczny przyjaciel, pianista Aladár Inkey, w absolutnej ciemności, zaledwie w świetle lampki od roweru odegra dla Państwa utwór Bartóka pod tytułem *Muzyka na instrumenty smyczkowe, perkusję i czeleśćę w wersji na fortepian*.

Po pokoju przebiegł cichy szmer oczekiwania. Wiedziała, że nie powinna być przychodzić. Pozwoliła przyciągnąć się z placu Ferenc Liszta na pobliską ulicę Kertész. – To w sąsiedztwie – powiedziała Marcsi. – Zobaczysz, że nie pożałujesz. Miała ochotę zawrócić sprzed zardzewiałej, zniszczonej bramy nietkniętego od czasów wojny domu czynszowego z przełomu wieków. Czemu miałaby iść na koncert, choćby nawet nie był *taki*. A tym bardziej w tym mieście. Jeszcze tego brakuje, żeby spotkała znajomych. Ale Marcsi stwierdziła, że po czterdziestu latach nikt jej nie pozna, *czas wykut jej twarz w kwadracie*, włosy posiwały, a przejęty od Brazylijek mocny makijaż też robił swoje. Zresztą tam nie chodzą typowi bywalcy koncertów, tylko kto wie jaka zbieranina. Ona jeszcze nigdy nie spotkała znajomego, co prawda, była tylko dwa razy, ponieważ bardzo ciężko poznać datę koncertu, teraz wyjątkowo dowiedziała się o nim od klienta. Nie może tego przegapić, z pewnością się opłaci. Niech zrobi to dla niej. To jej pierwsza prośba od czterdziestu lat. A ona nie wiedziała, co powiedzieć. Nie potrafiła odmówić Marcsi.

Nazwisko pianisty – podobnie jak Rosensteina – na szczęście nic jej nie mówiło, ale zamarta na dźwięk tytułu. To był finalny utwór ich ostatniego wspólnego koncertu. Ciepłe, nastrojowe światła Akademii, połącane, alegoryczne figurki, matowy połysk lakierowanych siedzeń, odurzający zapach perfum i wody po goleniu. Wiedziała, że on odejdzie. Bez niej. Wiedziała, że to ich ostatni koncert. Nuty dograła jakby we śnie, lewitując. Jego miękka, trochę spocona dyrygencka ręka, kiedy poprosił ją do wspólnego ukłonu. Ostrzyżony kark, zaczesane do tyłu, ciemne napomadowane włosy,

mięsiste uszy. Potem przespała dwa dni na środkach nasennych. Zanim się obudziła, jak Śpiąca Królewna, która pomyliła rolę, mężczyzna zdążył wyjechać ze swoją ptasią żoną. Nie ma mowy, żebym tego wysłuchała, pomyślała, ale kiedy rozejrzała się po sali, uświadomiła sobie, że nie wydestanie się ze środka załoczonego pokoju. Na dodatek zgasło światło, w ciemnościach czekali na występ. Po kilku minutach jakaś wiotka przypominająca zjawę postać, w tańczącym świetle przymocowanej do głowy lampki od roweru, weszła do pokoju i zasiadła przy fortepianie. To arcytrudny występ, dodał z zadowoleniem łysy, brzuchaty Rosenstein, niczym podstarzały dyrektor cyrku, zapowiadający *salto mortale* bez asekuracji. Ciężki utwór, w ciężkich warunkach. Usunęła się w ciemność. Na próżno opuściła swoją dziesięciomilionową ojczyznę, przeżyła sześćdziesiąt kilka lat i zobaczyła świat, teraz niczego nie mogła uczynić, oparła się plecami o oparcie składanego krzesła i przygotowała się na najgorsze, jakby mieli ją za chwilę zgwałcić.

Aladár Inkey pochylił się nad klawiaturą i zaczął grać ciesząc się złą sławą utworu. Animuszu starczyło mu tylko na kilka pierwszych taktów, potem zawahał się i przerwał. Pogrążona w ciemności publiczność wstrzymała oddech. Proszę mi wybaczyć, powiedział Inkey, zacznę od początku. Znowu uderzył w klawisze, szczęśliwie przebrnął przez fragment, w którym zaciął się poprzednio, ale po kilku taktach znowu urwał. Przetart oblane perlismy potem czoło, a w świetle lampki od roweru wyglądał jak wołający o pomoc rozbitek. Nie rozumiem, powiedział cicho przed siebie. W domu trzy razy zagrałem to bezbłędnie; nie rozumiem, co się dzieje. I wpatrzył się w ciemność, jakby nagle coś poczuł. Proszę o wybaczenie, powiedział drżącym głosem, spróbuję jeszcze raz. Katica, co ty wyprawiasz, siedź spokojnie, syknęła Marcsi, ale ona czuła, że dla dobra ich obojga musi wydestać się z pokoju, tylko tak uda im się przetrwać dzisiejszy wieczór. Bezsilnie opadając na krzesło, zrozumiała, że nie ma szans, nie wyrwie się stąd. Wiedziała, dlaczego pianista nie może odegrać utworu do końca i tylko jej ucieczka mogła mu pomóc. Jednakże nie licząc tłumy, przez którą musiałyby się przedrzeć, każdą osobę zmuszając do powstania, jej wyjście mogłoby zostać opacznie zrozumiane. Pomyśleliby, że jest zde gustowana albo zbyt wydelikaccona, żeby dalej słuchać takiego miernoty, słowem uznaliby ją za bezduszną, okrutną francję. Co zresztą nie było dalekie od prawdy; potrzebowała czterdziestu lat, żeby taką się stać. Ale nie mogła tego zrobić koledze, zwłaszcza uzdolnionemu, co można było wynioskować już po tych kilku taktach. Chociaż, pomyślała nagle, jeśli rzeczywiście nie może grać z jej powodu, jeśli w ciemności odczuł wymierzoną w swoją stronę negatywną energię, może poczuje również, że nie wychodzi przeciwko niemu, ale dla niego.

Ale na to było już za późno, ponieważ Inkey znów zebrał się w sobie i zaczął grać. W pokoju narastało napięcie, zgromadzeni trzymali kciuki, żeby pianistcie udało się odegrać kompozycję Bartóka. Ale ten zaciął się po raz trzeci. Ukrył twarz w drżących dłoniach i kilka sekund siedział nieruchomo jak podświetlone znalezisko archeologiczne. Potem wybiegł i usłyszeli trzask drzwi do przedpokoju. Czuła, jakby miało pochłonąć ją piekło. Nie istniał ksiądz, któremu mogłaby się wypowiedać, wytłumaczyć swoją winę, nawet gdyby chodziła do kościoła. Jak mogłaby wyznać, że zgrzeszyła samą obecnością,

istnieniem, zresztą jakie otrzymałaby rozgrzeszenie. Jak mogłaby wytłumaczyć komukolwiek, że to ona jest pianistką z lampką na czole, który daremnie wpatruje się w ciemność, ciągle myli nutę. Że na próżno przyjechała tutaj po czterdziestu latach, nawet gdyby chciała, nie potrafiła przywołać wspomnień.

Marcsi wyrwała ją z odrętwienia szturchnięciem w bok, ponieważ przy drzwiach powstało małe zamieszanie, rozległy się kroki, wreszcie przy fortepianie zabrzmiał chropowaty i, w porównaniu do postury, zaskakująco cienki głos Rosensteina. Przepraszam państwa w imieniu przyjaciela, powiedział. Każdemu może się coś takiego przytrafić, dodał ze wspaniałomyślnością tych, którym to się nigdy nie zdarzyło. Proszę pozwolić, że to państwu wynagrodzę. Skoro byli państwo na tyle uprzejmi, żeby tutaj przyjść. Wtedy bez żadnych zbędnych ceregieli zasiadł do fortepianu i zaczął grać *Preludium i fugę* Bacha. Poruszenie wśród zdenerwowanych słuchaczy ucichło, a niesłyszana od kilkudziesięciu lat melancholijna, acz płomienna gra Rosensteina wypełniła zniszczonej śródmiejski pokój tak, jak miejskie brudy pokrywa zimą pierwszy śnieg. Po kilku minutach ukradkiem zerknęła w półmroku na siostrę, aby sprawdzić, czy ona też go słucha, i spostrzegła, że twarz Marcsi zadrzała pod prawym okiem. I może nie tyle przenikające ją rozkołysane piękno muzyki, co ten drobny, znajomy tik sprawił, że dawno zapomnianym gestem zarzuciła siostrze ramiona na szyję i szepcząc jej do ucha, powtarzała – Marcsi, moja kochana Marcsi. Nic się nie stało, powiedziała cicho siostra, gładząc ją po rękę. Nic się nie stało.



Ekstlibris nieokreślonego reprezentanta rodu śląskiego von Senitz, Bartłomiej Strachowsky, miedzioryt, XVIII w.; zbiory Biblioteki Polskiej w Paryżu, foto. Arkadiusz Wagner